

Przemysław Słowiński

BRZEMIE



Opowieść
o księdzu Władysławie Bukowińskim,
duszpasterzu sowieckiej Rosji

Wydawnictwo WAM
Kraków 2011

Permisywizm to nic innego jak tolerancja dla odbiegających od normy zachowań społecznych, zakładająca bezużyteczność lub nawet szkodliwość większości zakazów obyczajowych. Jest to styl życia, w którym wolność utożsamia się z przyzwalaniem na jakikolwiek wybór. Mówiąc krótko, permisywizm to po prostu tolerancja wobec łamania norm moralnych. W dzisiejszej kulturze nie jest bynajmniej czymś zupełnie nowym. Swe korzenie intelektualne ma już w oświeceniowych i XIX-wiecznych prądach subiektywistycznych. Trzeba dużo, bardzo dużo wysiłku, aby z ogromnego gąszczu tego, co dziś oferuje nam świat, wyłuskać to, co jest prawdziwe, dobre i piękne, ponieważ w sieci tej znajdziemy bardzo wiele zła, powikłań egzystencjalnych i sporów. Znajdziemy też wiele opisów poczucia rozpaczy i beznadziejności. Te ostatnie objawy nie są niczym innym właśnie jak skutkami zachowań permisywnych ludzi w początkach XXI wieku. Człowiek i społeczeństwo, dla którego nic nie jest święte, szybko ulegają moralnej dekadencji.

Permisywizm jest praktyczną konsekwencją relatywizmu moralnego. Według jego wyznawców i apologetów w różnych okresach historycznych, środowiskach czy kręgach kulturowych istnieją odmienne kodeksy moralne. Czyn uznany w pewnych kręgach za niemoralny w innych jest już obojętny lub wręcz godzien pochwały. Jestem przekonany o słuszności mojego kodeksu moralnego – twierdzą relatywiści – widzę jednak, że są ludzie równie przekonani o słuszności kodeksów o odmiennej treści, nie mam więc podstaw, by ich potępiać ani narzucać im swoje normy. W imię suwerenności każdej jednostki próbuję inne kodeksy moralne.

Postawę nihilizmu moralnego reprezentują ci, którzy świadomie uznają, że normy moralne nie powinny być regulatorami życia osobistego i społecznego, czyli zamiast wartości, jaką jest moralność, eksponują inne wartości, takie jak: spontaniczność, siła, moc, estetyka,

skuteczność czy korzyści. Te właśnie wartości mają sterować życiem i być kryterium oceny świata.

Współczesny zlaicyzowany świat, jak zarazą dotknięty wyżej wspomnianymi – oraz kilkoma innymi, nie mniej groźnymi – „izmami”, jak nigdy dotąd potrzebuje świętości. Potrzebuje jej jak powietrza, jak wody i jak słońca, chociaż często sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Lecz zarazem mniej niż kiedykolwiek świat ten potrzebuje hagiografii, a przynajmniej tej tradycyjnej – sterylnej świata gipsu, woskowych lilii, podniesłego komunau, dramatu przetłumaczonego na naiwne ja-selka, odgrywanego na tle infantylnej makiety nieba.

Na horyzoncie chrześcijaństwa święci stoją jak wygasłe wulkany – napisał Jan Józef Szczepański. – Ich imiona kojarzą się często już tylko z ikonograficznym symbolem, z ludową przepowiednią pogody, z datą z kalendarza. Zapomniano, jakie wstrząsy wydzwignęły ich w górę, jakimi tryskali lawami. Kiedy przyjrzeć im się bliżej, niejedna z tych postaci wydaje się dziś kontrowersyjna. Można wśród nich znaleźć złotoustych demagogów, wzywających do nietolerancji, fanatyków wysyłających dzieci na pewną śmierć od chorób i saraceńskich strzał, doktrynerów, którzy położyli głowy za spekulacje nieznaczące już nic dla nikogo. Pojawienie się świętego w naszych skłonnych do cynizmu czasach jest zjawiskiem prowokującym do zadumy nad istotą cywilizacji, która nas ukształtowała.

Poniższa historia, chociaż bohaterem jej jest sługa Boży w trakcie procesu beatyfikacji, ma – przynajmniej w założeniu autora – być opowieścią o człowieku z krwi i kości. „Był korpulentny, rumiany na twarzy, miał donośny głos, lubił się śmiać i żartować” – wspomina jedna z parafianek księdza, Alicja Moskalowa. Właśnie o takim księdzu Bukowińskim chcę napisać. O postaci wielkiej, heroicznej, o człowieku niewątpliwie świętym, lecz niewolnym także od niektórych ludzkich słabostek i przywar. O kimś, kto będąc właściwie tylko ziarnkiem piasku rzuconym w tryby wielkiej maszyny terroru, potrafił skutecznie dobro przeciwstawić złu i tą drogą ocalić wiarę, miłość i nadzieję tam, gdzie inni zatarali nawet swoje człowieczeństwo.

Jak powiedział kiedyś Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński: „Nie wystarczy urodzić się człowiekiem – należy jeszcze nim

być”. Ksiądz Władysław Bukowiński stał się wzorem do naśladowania właśnie dlatego, że w świecie miliona wież i prawie żadnego dzwonu, w świecie miliona cerkwi i prawie żadnej modlitwy prowadził strapionych i zagubionych wprost do Boga. Wlewał w serca nadzieję tym, którzy tej nadziei już nie mieli.

Kiedy księdza Bukowińskiego namawiano do powrotu do Polski i ostrzegano, że tutaj, w „imperium zła” z pewnością skończy w łagrze, odpowiadał: „W łagrach kapłan jest najbardziej potrzebny”.

W sumie spędził w sowieckich obozach i więzieniach ponad 13 lat. W swoich *Wspomnieniach z Kazachstanu* napisał:

Przyjaciel mój, ksiądz dr Józef Kuczyński, godnie dzierży światowy rekord wśród wszystkich księży katolickich. Jest to rekord uwięzienia. Wynosi on 17 lat.

Mój drugi przyjaciel, ksiądz – obecnie już prałat – dr Bronisław Drzepecki jest wicemistrzem światowym. Ma za sobą 15 lat uwięzienia.

Ja znajduję się na dalszym miejscu. Mimo trzykrotnego uwięzienia zdołałem nazbierać zaledwie 13 lat, 5 miesięcy i 10 dni.

Swoje miejsce do końca widział tam – w sowieckim Kazachstanie i wszystkich pozostałych odwiedzanych przez siebie miejscowościach rozrzuconych na obszarze potwornego kraju, gdzie żyli ludzie potrzebujący Boga.

Msze odprawiał i chrzczył nocami, zmieniając co rusz miejsce pobytu, bo tylko tak ludzie mogli uniknąć represji za to, że pozwolili mu pełnić kapłańskie czynności we własnych mieszkaniach. Była nędza, surowość życia i ustawiczna prowizorka, przy której ówczesne polskie warunki to luksus.

Po długiej nocy prześladowań i zwątpienia przychodził do ludzi jako zwiastun nadziei, uczył katechizmu, udzielał sakramentów, spowiadał. Nie bacząc na fizyczne zmęczenie, ustawiczne napięcie, grożące szykany i ograniczone środki, starał się dotrzeć wszędzie tam, gdzie jeszcze nie zgasły iskry wiary i gdzie z popiołów mogła ona odrodzić się na nowo.

Jedni uwielbiali go i czcili jak świętego, inni uważali za szaleńca. Nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę, że razy i obelgi tudzież okrzyki: „wariat, wariat!” często towarzyszyły wielu świętym.

Od samego początku władza radziecka głęboko nienawidziła Kościoła, widząc w nim największego rywala komunizmu we władaniu sercami i umysłami ludzi. Lenin był nie tylko twórcą klasycznej taktyki w zwalczaniu wiary w Boga. Włodzimierz Iljicz osobiście cierpiał na swoisty uraz, on po prostu nienawidził Boga. W listach do Gorkiego nazywał go „rozkładającym się trupem, który smrodem rozkładu zaraża powietrze świata”.

Szczególną niechęcią sowieckiej *własti* „cieszył się” Kościół katolicki. Tylko konkurencyjna religia, żywiąca niewypowiedziany strach wobec ducha, jaki zbudował domy Boże na terenie Rosji, mogła zemścić się, niszcząc je tak złośliwie. Stare powiedzenie mówi, że w samej tylko Moskwie kościołów było kiedyś „czterdzieści razy czterdzieści”. Bardziej dokładne dane mówią o liczbie czterystu pięćdziesięciu. Większość, ponad dziewięćdziesiąt procent, zniszczył Józef Stalin, były słuchacz seminarium duchownego.

Kościół Chrystusa Zbawiciela był największy w Moskwie. Wzniesiono go z datków ludzi, by upamiętnić zwycięstwo nad Napoleonem, a sama budowa świątyni zajęła ponad czterdzieści lat. Ukończono ją w roku 1880. Niestety *Cerkow Christa Spasitiela* nie spodobała się Stalinowi. Pewnego dnia postanowił ją zburzyć.

Przyszli robotnicy, ale kościół się oparł. Budowały go tysiące ludzi – budowały wyjątkowo solidnie. Ściany wytrzymały atak burzycieli i nie padły. Zadaniem obarczono więc Czeka¹, tajną policję, poprzedniczkę NKWD i KGB. Wysłani przez nią saperzy podłożyli laski dynamitu. Eksplodowała tak, że w promieniu kilku kilometrów wyleciały wszystkie szyby. Ale mury w końcu się zawaliły.

Na miejscu kościoła planowano wybudować Pałac Rad, zaprojektowany w groteskowym stylu tortu weselnego stalinowskiego baroku. Liczne kondygnacje miały wznosić się na wysokość trzystu metrów i kończyć stumetrowym pomnikiem Lenina. Oczy statuy miały rzucać czerwony promień widoczny na kilometry, jak ideologiczna latarnia morska. Ale nawet nie przystąpiono do realizacji projektu. Teren był

¹ Czerzwyczajnaja Komisja (Nadzwyczajna Komisja) – w skrócie Cz.K. powołana została do życia 7 grudnia 1917 roku do walki z kontrrewolucją, spekulacją i sabotażem. Na jej czele stanął Polak, Feliks Dzierżyński.

w tym miejscu bagnisty i nie mógłby udźwignąć tak potężnej konstrukcji. Zamiast tego wybudowano wielki basen na otwartym powietrzu – gigantyczną chrzcielnicę, w której kąpała się cała Moskwa, ale nie mogła zmyć swych grzechów.

Zarówno jednak Lenin, jak i potem Stalin nie mieli odwagi nakazać całkowitego wykorzenienia duchowieństwa. Obawiali się, że taki krok może spowodować ostry bunt ludności, którego nie opanuje nawet NKWD. Toteż po pierwszej fali przemocy, polegającej na paleniu cerkwi, rabowaniu kościelnych skarbów i wieszaniu diakonów, politbiuro zdecydowało się zmienić taktykę i pokonać Kościół metodą jego dyskredytacji w oczach społeczeństwa.

Imano się najrozmaitszych sposobów. NKWD przejęło na przykład całkowitą kontrolę nad seminariami duchownymi, z których usunięto wszystkich ludzi młodych i inteligentnych, zastępując ich przybyszami z odległych zakątków imperium. Poziom nauczania uległ znacznemu obniżeniu, co wkrótce odbiło się na ogólnym poziomie wykształcenia duchowieństwa.

Większość obiektów sakralnych po prostu zamknięto i pozostawiono na pastwę losu. Pomagali mu budowniczowie metra, czas i korniki też dołożyły swoje. Jeszcze później urbaniści z ochotą pustoszyli miasto. Kościoły zostały przekształcone w fabryki, biura, galerie sztuki i muzea. W rezultacie, pod koniec lat pięćdziesiątych, czynnych pozostało w Moskwie tylko około siedemdziesięciu kościołów. Pozostających na służbie diakonów zmuszono, by regularnie składali meldunki służbom bezpieczeństwa, a z biegiem lat uczyniono z nich informatorów donoszących na wiernych. Jeśli ktoś chciał ochrzcić dziecko, diakon z jego parafii musiał zameldować o tym fakcie władzom, w efekcie czego człowiek ten tracił swą pozycję społeczną: był wyrzucany ze studiów, otrzymywał niższe i gorzej płatne stanowisko, jego rodzice musieli wyprowadzić się z zajmowanego dotychczas mieszkania... Komuniści stosowali starą jak świat politykę kija i marchewki, choć zamiast kija używali bata, zaś marchewka była zatruta.

W roku 1932 ogłoszono pięcioletni plan antyreligijny, który zapowiadał, że w ciągu najbliższych pięciu lat na terytorium Związku Radzieckiego nie będzie potrzebny ani jeden dom modlitwy, zaś samo pojęcie

Boga będzie wykreślone jako przeżytek średniowiecza i narzędzie hamowania rozwoju mas. Duchowni wszystkich wyznań i religii zostali uznani za kategorię szkodliwą dla nowego ustroju, a księży katolickich potraktowano jako element szczególnie niebezpieczny i wrogi. Tylko w latach 1937–1940 osiemdziesięciu jeden spośród nich zostało rozstrzelanych. Ci, którzy pozostali przy życiu, znaleźli się w łagrach lub na zesłaniu, żyjąc w warunkach, które *de facto* nie dawały im szans przeżycia.

Po drugiej wojnie światowej stworzono dla kościoła trzy strefy. Pierwsza obejmowała Litwę i Łotwę, gdzie hierarchię kościelną i seminaria pozostawiono na razie bez większych zmian. Na Białorusi i Ukrainie jako drugiej strefie nie było już hierarchii i seminariów, tylko niektóre parafie obronione dzięki determinacji wiernych. Na pozostałych terenach Związku Radzieckiego nie istniały parafie i kościoły z wyjątkiem części kościołów w Moskwie i Leningradzie. Nie mógł tam działać żaden ksiądz, wszystkich postanowiono uwięzić i osadzić w łagrach.

Heroicznej zaiste odwagi i ogromnej wiary wymagało głoszenie słowa Bożego w warunkach, w których być dosłyszonym przez bliźniego, doświadczyć przyjaźni, lojalności, solidarności w duchowym, a często i fizycznym zniewoleniu i upodleniu oznaczało szansę przetrwania. Ksiądz Władysław odważył się głosić prawdę wbrew wszelkim zakazom i nakazom władz, a przecież mogło się to skończyć – i niejednokrotnie tak było – źle, gdy w pobliżu znalazł się ktoś, kto ze służbowego obowiązku lub ze zwykłego tchórzostwa zajmował się tropieniem przejawów ludzkiej solidarności. Solidarności, będącej czymś najnaturalniejszym pod słońcem, ale dlatego właśnie tak bardzo prześladowanej przez sowieckie władze, których siła brała się z rozrywania międzyludzkich więzi i walki z wiarą w cokolwiek innego niż nieśmiertelna myśl Lenina.

Nic więc dziwnego, że sam wielki papież Jan Paweł II podczas homilii dla duchowieństwa w czasie wizyty apostolskiej w Kazachstanie we wrześniu 2001 roku wyraził się o księdzu Bukowińskim w sposób następujący: „Sam miałem szczęście znać go osobiście i podziwiać jego głęboką wiarę, mądre słowo i niezachwianą ufność w potęgę Bożą”.

Natomiast w liście do kardynała Franciszka Macharskiego z 18 listopada 2004 roku pisał:

Cieszę się, że postać tego bohaterskiego kapłana nie idzie w zapomnienie. Przeciwnie, pozostaje on w pamięci wielu jako heroiczny świadek Chrystusa i pasterz tych, którzy doświadczyli prześladowań z powodu wiary i pochodzenia. Nigdy ich nie opuścił. Dobrowolnie poszedł na zesłanie, aby dzielić ich los. Bogu dziękuję, że mogłem go osobiście poznać, budować się jego świadectwem i wspierać w każdy możliwy w tamtych czasach sposób. Nigdy oprócz modlitwy nie prosił o nic dla siebie, ale zawsze był otwarty na wszystko, co mogło dać oparcie w wierze i w cierpieniu tym, których pan Bóg powierzył jego pieczy. Podziwiałem jego oddanie i duszpasterski zapał. Niestraszne mu były przeciwności, nawet więzienie, byle tylko uciśniony Lud Boży mógł czerpać z jego posługi.

Zostaliśmy wyświęceni nie po to, aby się oszczędzać – twierdził ksiądz Władysław – lecz jeżeli jest potrzeba, ażeby oddać nasze życie za owczarnię Chrystusa.

A niedługo przed śmiercią napisał w swoich pamiętnikach:

Nie wiem, co przyniesie przyszłość, nawet najbliższa, mnie i moim przyjaciółom pracującym w duszpasterstwie w Związku Radzieckim. Nie wiem, w jaki sposób Opatrzność Boża czuwać będzie nad naszym Kościołem w tym kraju. Wiem tylko jedno, iż słodkie jest jarzmo Chrystusowe, a brzemień jego jest lekkie...

*

Już samo to, co napisano powyżej, wystarczy, aby postać tak wspaiała jak ksiądz Bukowiński doczekała się biografii. To pierwszy powód, dla którego postanowiłem napisać tę książkę.

Dzięki wysiłkom księdza Witolda Kowalowa, apelującego od wielu lat o zbieranie wspomnień o Władysławie Bukowińskim i zgromadzone wspomnienia wydającego w bibliotece Wołanie z Wołynia, materiałów do biografii duszpasterza sowieckiej Rosji jest sporo. To drugi powód.

Jest i powód trzeci. Ksiądz Władysław był kuzynem mojego dziadka, Sławomira Bukowińskiego. Dziadek mojego dziadka, Ludwik, oraz dziadek księdza Władysława, Cyprian, byli rodzonymi braćmi, synami Mateusza Bukowińskiego, który zbuntował się przeciwko legalnej wła-

dzy carskiej w 1830 roku, biorąc udział w awanturze funkcjonującej w naszej historiografii pod nazwą powstania listopadowego. W wyniku tego Rosjanie zabrali mu rodzinny majątek.

Powód czwarty to taki, że miałem zaszczyt poznać bohatera tej opowieści osobiście w roku 1969, gdy zaledwie jako dziesięcioletni chłopiec chyba nie do końca umiałem docenić, z jak wspaniałym człowiekiem dane mi było się spotkać. Pamiętam wielkie zaafierowanie całej rodziny, poprzedzające wizytę księdza w naszym mieszkaniu w Katowicach przy ulicy *nomen omen* Armii Czerwonej (dzisiaj Wojciecha Korfantego). Pamiętam szacunek, z jakim wyrażano się o księdzu, pamiętam całą otaczającą go już za życia legendę... I pamiętam spory zawód, kiedy w dziadkowym fotelu zasiadł w końcu poprzedzony tak wielką sławą gość z dalekiego Kazachstanu.

Niestety w niczym nie przypominał Simona Templara, czyli „Świętego”, czy choćby Janka z „Pancernych”, ani nawet kapitana Klossa. Gdyby nie potężna tusza, rzec by można, iż ksiądz wyglądał niepozornie. Ubrany w liche garniturek, w jakim na Śląsku nikt nie pokazywał się przynajmniej od 1956 roku, absolutnie nie spełniał marzeń dziesięcioletniego chłopca o wielkim bohaterze. Na nogach miał rozłożące się filcowe buty, o jakich często mówi się: „pamiętające lepsze czasy”. Te były jednak tak stare, że z powodu zaawansowanej sklerozy zapewne w ogóle niczego już nie pamiętały.

A jednak to właśnie ten otyły człowiek w niemodnym garniturku odważył się bez zahamowań głosić starą biblijną prawdę, że ziemia jest okaleczona i nieszczęśliwa z powodu grzechu i zła, jednakże pozostała dziełem Stwórcy. Że splugawiona mimo wszystko jest ołtarzem Boga, nie zaś podnóżkiem szatana. I że przyrzeczono jej zmartwychwstanie oraz przemienienie, gdyż co ustanowił Pan, trwa na wieki.

Zarówno funkcjonariuszom zbrodniczego reżimu, jak i niektórym zadufanym w sobie „klechom”, którzy ugrzęźli we własnej zasobności i jej konsekwencjach, człowiek ten zaświecił w oczy Ewangelią jak żagwią i pokazał, że naprawdę można właśnie tak. Że cnoty i wskazania ewangeliczne nie są mrzonką fantasty. Cóż bowiem zabrać można człowiekowi, który nie ma nic? Albo czym zagrozić, jeśli nie ma w nim lęku? Takich ludzi nawet uwiezić nie można skutecznie, ponieważ swoją

wolność noszą w sobie i tylko jej słuchają w imię Pana. Są nieuchwytni jak wiatr. I potrzebni ludziom jak powietrze.

Źródłem heroizmu księdza Bukowińskiego była jego wiara. Ona nie tylko uzbroiła go w męstwo, ale podsunęła również gotowy wzorzec postępowania. Był człowiekiem wielkiej pobożności. A do polskości wnosił cechy, które raczej trudno byłoby przypisać polskiemu temperamentowi: roztropność, żelazną wytrzymałość, wytrwałość, systematyczność i konsekwencję. Był też człowiekiem modlitwy. Modlił się dużo i zawsze na kolanach; a gdy się modlił, stawał się nieobecny, zapamiętywał się. Mówiono, że kiedy ksiądz Władysław się modli, można przy nim strzelać z armaty, nie usłyszysz.

W relacji księdza Bukowińskiego z pobytu na „niehumanitarnej ziemi” nie znajdzie się ani cienia egzaltacji, ani jednej nuty nienawiści w stosunku do prześladowcy. Ksiądz opowiadał rzeczy straszne głosem ścisłym i pokornym, tak jakby opisywał historię ciężkiej, lecz nie beznadziejnej choroby. Zadziwia jego olbrzymia wiara w Opatrzność Bożą, której dłoń, w sytuacji wydawałoby się bez wyjścia, odczuwał bardziej aniżeli ktokolwiek z zewnątrz. Władysław Bukowiński po prostu zaufał Bogu. Ale nie tak, jak wielu ludzi ufa Najwyższemu, jakby Go wciągali do spółki zarobkowej, uważali za magiczne narzędzie sukcesu albo chcieli przymusić do udzielenia pomocy, bo ich dzieło jest dobre. Zaufał Mu całkowicie i bezwarunkowo.

Spuścizna piśmiennicza księdza Władysława, zwłaszcza jego listy, zadziwiają właśnie bezgranicznym zaufaniem w Bożą Opatrzność. W państwie sowieckim, w którym wiele narodów zostało porażonych obezwładniającą beznadziejnością, człowiek tak ufający w Bożą miłość był dla ludzi, których spotykał na swej drodze życia, nie tylko apostołem, ale świadkiem nadziei i prorokiem. Swoją postawą umacniał zranione ludzkie serca, zranione ciężko przez okrutny system, pokaleczone przez grzech.

Nie tylko zresztą słowem głosił miłość bohater tej opowieści, ale czynem praktykował ją na co dzień. A wszystko to *ad maiorem Dei gloriam*.

Siedemnaście lat po śmierci księdza Bukowińskiego upadł Związek Sowiecki i niemal natychmiast nastąpiło wielkie odrodzenie wiary. Sprawdziły się słowa kapłana, że „Rosja jest jak wysuszony step”, że wystarczy tylko „rzucić iskrę, a zapłonie wiara i nadzieja”. Mimo wieloletniego panowania ateizmu, prześladowań duchownych i otwartej walki z chrześcijaństwem, pozostało ono głęboko zakorzenione w narodzie. A stało się tak między innymi dzięki odwadze i poświęceniu kilku Bożych szaleńców, wśród nich także i księdza Władysława.

Dziś do grobu sługi Bożego księdza Władysława Bukowińskiego przybywa wielu ludzi, wypraszając potrzebne łaski. Jedną z nich było niewątpliwie otrzymanie przez katolików w Karagandzie pozwolenia na budowę kościoła, o co sam ksiądz Władysław zabiegał bezskutecznie przez wiele lat.

Religią tradycyjną jest w Rosji prawosławie, katolicy są tam niewielką mniejszością. Jest ich niespełna 800 tysięcy, co stanowi 0,6% społeczeństwa, liczącego ponad 130 milionów obywateli. Jego struktury składają się z jednej archidiecezji w Moskwie, trzech diecezji: w Saratowie, Irkucku, Nowosybirsku, jednej prefektury apostolskiej w Jużnosachalińsku oraz egzarchatu apostolskiego dla katolików obrządku bizantyjskiego.

Osiemnaście lat najnowszej historii Kościoła katolickiego w Rosji to czas odrodzenia, odbudowy i rozwoju. I chociaż również dziś, pod rządami „cara” Putina², nie ma on lekko, to jednak obecnej niechęci władz nie można porównywać z prześladowaniami minionej epoki. Kościół katolicki w Rosji po latach zniewolenia stanął wreszcie mocno na nogach, ma wszelkie potrzebne instytucje, rozwinął działalność duszpasterską, katechetyczną i informacyjną. Bierze aktywny udział w życiu społecznym, kulturalnym i naukowym kraju, jest również trwałym elementem rosyjskiej rzeczywistości, dającym wiarę i nadzieję zateizowanemu społeczeństwu.

Zdaniem metropolity Moskwy abp. Paola Pezziego, największym osiągnięciem tamtejszego Kościoła jest już samo jego odrodzenie,

² Wprawdzie od 2008 roku prezydentem Rosji jest Dmitrij Miedwiediew, ale – jak twierdzą znawcy tematu – za wszystkie najważniejsze sznurki wciąż pociąga Władimir Władimirowicz.

a największym wyzwaniem – świadczenie wraz z prawosławnymi o Chrystusie w codziennym środowisku życia.

Trzeba zaznać głodu, by odczuć niebiański smak zdobytej kromki chleba. Trzeba przeżyć furie piorunowych burz, by ocenić szczęście pierwszego promyka słońca. Trzeba żyć długo podwójnym życiem: wolnym w katakumbach, zniewolonym na ziemi – by odczuć aż do najgłębszych zakamarków duszy potęgę misterium, gdy wychodząca z podziemia wolność zaczyna pokonywać niewolę. Trzeba wreszcie grozy wspaniałej i silnej, by w naturze człowieczej odezwało się bohaterstwo i wyrywając go z objęć powszedniości, poniosło ku wyżynom uczuć odświętnych, by szala umiłowania wartości idealnych i dobra powszechnego – narodowego czy ogólnoludzkiego – przeważała ciężar całego świata osobistych, egoistycznych pragnień, trosk i radości.

Pewnie dlatego tak mało mamy bohaterów i jeszcze mniej świętych.